

Droga do teatru...

W wielu tekstach – świadectwach widzów Teatru Węgajty z lat minionych, często pojawia się motyw drogi na przedstawienie. Ze szczegółami bywa opisywane wieczorne przeprowadzanie grup widzów do teatru przez przewodnika z latarnią. W tych opisach dominują romantyczne obrazy, na tyle sugestywne, że od dłuższego czasu chciałam się spotkać z takim doświadczeniem.

Tak się też stało podczas niedawnej, z wielu względów szczególnej, Wioski Teatralnej. Wprost z przejmującej wystawy prac Ewy Dąbrowskiej duża grupa widzów zebranych przed budynkiem teatru (do uczestników festiwalu dołączyli tamtego wieczora miłośnicy Sztuki w obejściu) z zachowaniem koniecznego dystansu, ruszyła za Wacławem Sobaszkim niosącym latarnię ze świecą do gospodarstwa państwa Łepkowskich. Noc była ciemna, znajoma droga specjalnie została wydłużona, by ominąć gospodarstwo i kierować się przez pole wprost do miejsca ze stosem ogniskowym ustawionym nad stawem, u podnóża niewielkiego pagórka. Moje doświadczenie drogi – węzłem jeden za drugim, jedna za drugą, nie tyle rezonowało z jakąś romantyczną wizją, ale przynosiło bardzo proste i pragmatyczne rozpoznanie. Myślałam o tym, że dobrze być razem, nawet zachowując dystans, że wspólnie łatwiej jest nie zgubić drogi, że pogrzeniająco działa wspólny wysiłek i on, jeszcze przed wydarzeniem zanurzył nas-widzów w czymś wspólnym, że naturalną radość wzbudza obserwowanie kołyszących się w rytm ludzkiego ruchu świateł latarek. Dlatego też zanim dotarliśmy na szczególne, świetnie wybrane miejsce „otulone” z jednej strony przez las i tworzące zjawiskowy, naturalny amfiteatr, byliśmy już jakoś „razem”, „bardziej razem” niż w przypadku większości spektakli.

Bartek Wrona, Piotr Magdziarz i Bartosz Luz swoje działanie określili, nie wiem, czy do końca trafnie jako *Duet na ognisko i opowieść* (oprócz ogniska i opowieści ważnym elementem była przecież muzyka, a także w nieco inny sposób wielość doświadczeń płynących licznymi „kanałami” z natury). Dla mnie to nie był spektakl. Choć można użyć w tym przypadku określenia zdarzenie performatywne. Pisałabym raczej o czymś co jest „więcej niż teatrem” a może po prostu o przed-teatrze.

Połączenie trzech narracji (jak w starych orientalnych formach teatralnych, gdzie praca muzyka, narratora i tancerza/aktora tworzy niezwykle inspirującą trampolinę dla aktywności i doświadczenia widza) – barwne, zaplatające się kolejno opowieści Bartka Wrony, dźwięki naturalnie wtopione w pejzaż akustyczny a równocześnie budzące, wyostrowające percepcję i wspomagające w tej „wędrówce” przez opowieść Bartosza Luza i „głos” ognia, o którego płonienie i formę troszczył się Piotr Magdziarz – było niezwykle trafne i mocne. To połączenie sprawiło, że nie mieliśmy do czynienia tylko ze „zwyczajnym” opowiadaniem, graniem muzyki czy śpiewaniem przy ognisku. Prowadziło daleko dalej... Równie ważne jak to, co zostało

przygotowane przez wykonawców było to, w jaki sposób włączyli w swoją pracę współdziałanie przyrody – fale wybuchającego i słabnącego deszczu, noc, obecność księżyca. Z jakim wsłuchaniem i pokorą Wrona jako prowadzący działanie otwierał się na głos płynący z przyrody. To był rodzaj dialogu z tym, co nieprzewidywane, nad czym nie sposób, ale i nie ma potrzeby, by zapanować. To współlistnienie ludzkiego działania przez sztukę z kontekstem wokół, zgoda na to, co ma do powiedzenia kosmos – nawet gdyby to był momentami uciążliwy deszcz, dla mnie świadczy o tym, że akcja zaproponowana przez Wronę, Magdziarza i Luza była wydarzeniem wyjątkowej wagi, na długo zapadającym w pamięć. W tym działaniu zgromadzona została jakaś szczególna energia, nastąpiło jak gdyby otwarcie przestrzeni na kreację i gdy wykonawcy zakończyli już uprzednio zaplanowany „program”, przestrzeń „naturalnie”, spontanicznie wywołała kolejnych twórców – pieśni, tańce, improwizacje i słowa. Niektórych także „wezwała” do bardziej ekstremalnych działań – jak nocna kąpiel w sadzawce.

Ta druga część nie mogłaby zaistnieć bez pierwszej. Ale to ona właśnie uświadomiła mi dobitnie, jaki jest cel sztuki? W moim rozumieniu jest nim otwarcie drogi do kreacji, otwarcie przestrzeni, zainspirowanie, zachęta skierowana do innych osób, uczestniczących w danym działaniu artystycznym. W trakcie tej drugiej części zaistniało jeszcze coś ważniejszego, co pozwoliło mi „na sobie” doświadczyć genezy teatru. Gdy w pewnym momencie z chóralnie intonowanej pieśni *Ziemia moim ciałem* wyłonił się zdecydowany i silny głos koryfeusza i Wacław Sobaszek „oddzielił” swój głos od pozostałych, którzy zaczęli odpowiadać mu na wezwania; doświadczyłam (jako osoba zajmująca się teatrem) na własnej skórze narodzin tragedii... Myślę, że w ten dokładnie sposób np. w starożytnej Grecji mógł narodzić się pierwszy protagonista. Ten powrót do źródeł to także owoc działania Bartka Wrony, Piotra Magdziarza i Bartosza Luza. Ich quasi-rytuał w bardzo głębokim sensie był drogą do teatru.

P.S. Już na koniec chciałabym wyrazić wdzięczność gospodarzowi miejsca – Jerzemu Łepkowskiemu za wrażliwość na widzów i w chwili największej intensywności opadów szczodre rozdawanie folii przeciwdeszczowych.

Magdalena Hasiuk